

ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·III·
DZIEJE TAGUNA

Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Cwra - cwra. Nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Cwra - cwra. Nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

ANNA BORKOWSKA

Gar'Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·III·
DZIEJE TAGUNA

Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Cwra - cwra. nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Fala - fala - fala. Cwra - cwra. nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

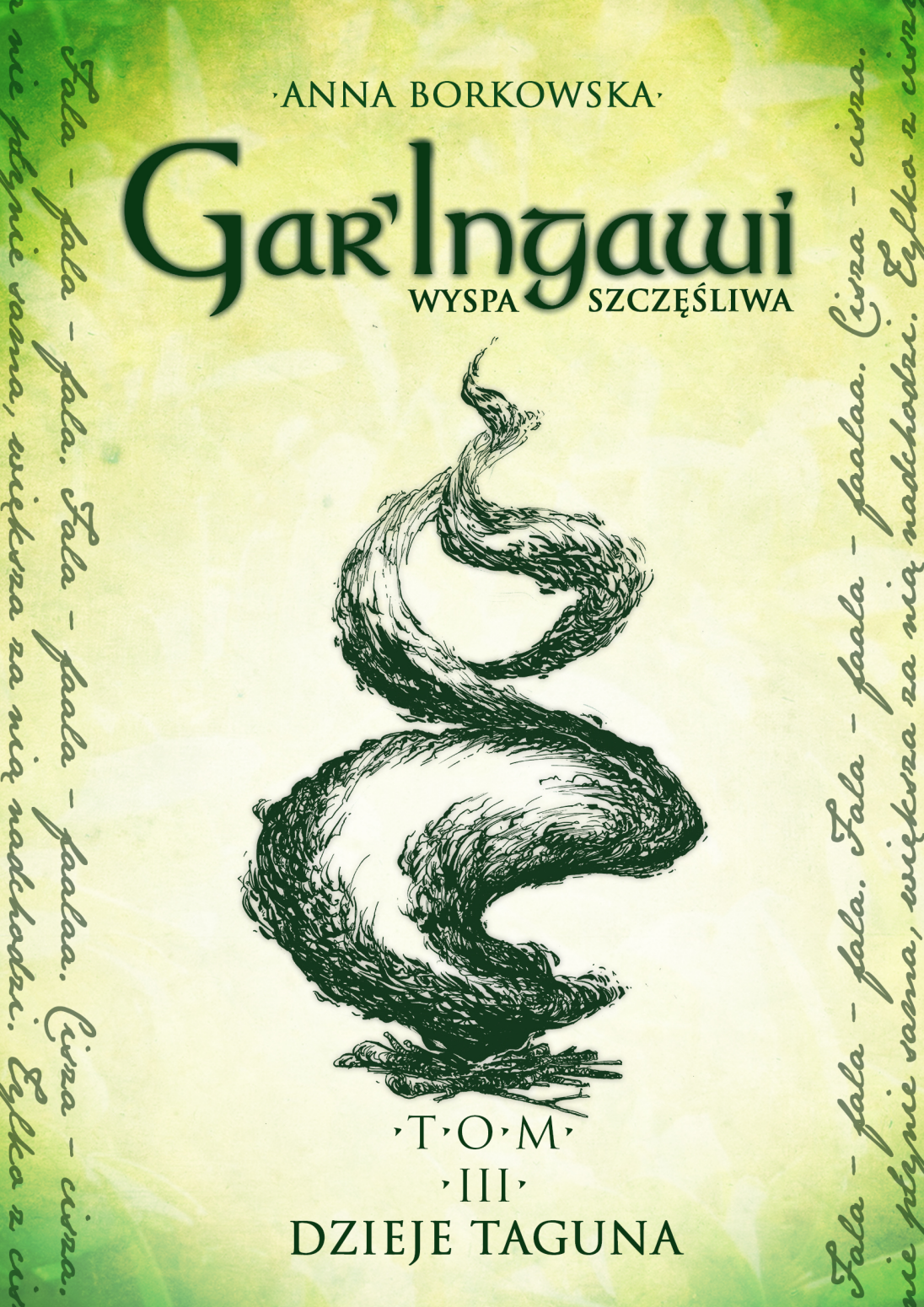
WYSPA SZCZĘŚLIWA



T·O·M
III
DZIEJE TAGUNA

Fala - fala - fala. Fala - fala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.



ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



T·O·M
III
DZIEJE TAGUNA

Fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



T·O·M
III
DZIEJE TAGUNA

Fala - fala - fala. Fala - fala - faalaa. Cwra - cwra.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Cwra - cwra.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

ANNA BORKOWSKA

Gar'Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



T·O·M
III
DZIEJE TAGUNA

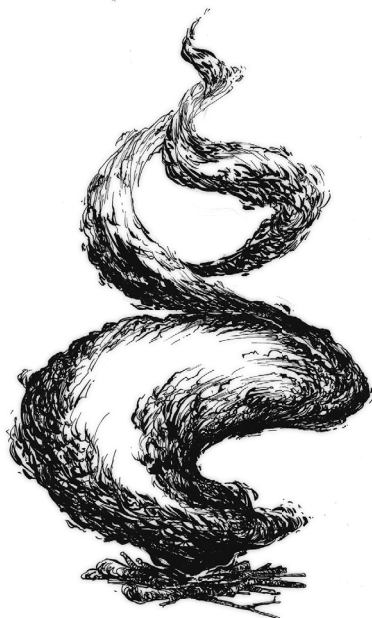
Fala - fala - fala. Fala - fala. Fala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

Fala - fala - fala. Fala - faala - faalaa. Ciora - ciora.
nie płynie sama, wiekora za nią nadchodzi. Łyłka z ciwra.

ANNA BORKOWSKA

Gar'Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·III·
DZIEJE TAGUNA

WYDAWNICTWO

ZONA ZERO

[Kup książkę](#)

Oktładka, grafika na okładce i portret Autorki

Monika Lipiec

Redakcja

Martyna Pośluszna

Dyrektor projektów wydawniczych

Maciej Marchewicz

Skład i łamanie

Point Plus

ISBN 978-83-948336-1-9

Copyright © by Anna Borkowska

© Copyright for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca

Zona Zero Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Wydrukowano na papierze ibook

iBOOK

dostarczonym przez Firmę Igepa



IGEPA

druk i oprawa

opolgraf 
DRUKARNIA

[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	Mistrz Delu Chwan	7
ROZDZIAŁ II	Piętno niewoli	25
ROZDZIAŁ III	Sługa z Wyspy Szczęśliwej.....	39
ROZDZIAŁ IV	Tajemne Słowa	60
ROZDZIAŁ V	W małym kraju	70
ROZDZIAŁ VI	Droga do Nahidene	91
ROZDZIAŁ VII	Następcy, piraci i bagno.....	104
ROZDZIAŁ VIII	Powrót nieupragniony.....	115
ROZDZIAŁ IX	Ślady na piasku	130
ROZDZIAŁ X	Duet filozoficzny.....	149
ROZDZIAŁ XI	Bitwa pod Sawandu.....	165
ROZDZIAŁ XII	Wilki na drodze.....	180
ROZDZIAŁ XIII	Błazen.....	199
ROZDZIAŁ XIV	Słowa niezapisane	215
ROZDZIAŁ XV	Druga Fala.....	221
ROZDZIAŁ XVI	Drugie Imperium	235
ROZDZIAŁ XVII	Trzecia Fala.....	252
ROZDZIAŁ XVIII	Or.....	265
ROZDZIAŁ XIX	Dziewięć kamieni.....	275
	Dramatis personae	283



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mistrz Delu Chwan

Z araz pierwszego dnia po wypłynięciu z Adongo Tagun wyszedł rano z namiotu (z namiotu, bo Nuno Lagmi zakupił dla niego na resztę drogi miejsce pasażera) i zobaczył na maszcie małpę.

Tagun pamiętał, że Memuke wiezie jako cenny towar kilka małp, ale ta wydawała mu się inna od tamtych. Przede wszystkim była o wiele większa i futerko miała jasne, mniej więcej koloru kłoszącego się żyta: srebrnoszare ze wspomnieniem zieleni. Poza tym była jakby złożona cała z bardzo długich kończyn, z małym tylko tułowiem pośrodku. Ogon też miała bardzo długi i widać mocny bardzo, bo wisiła na nim z rei głową w dół, huśtając się

z lekka. Jej smutna i mądra twarzyczka, ciemnobraunatnej barwy, znajdowała się przez to tuż nad głową chłopca.

Tagun uśmiechnął się i zrobił ręką taki ruch, jakby chciał zwierzaka pogłaskać, ale małpa rzuciła się lekko w bok i wyciągnięta ręka trafiła w próżnię. Trzeba się więc było zabrać do powolnego oswajania. Tagun zaczął przyjacielską gawędę:

– Dlaczego wisisz głową w dół zamiast stać na nogach? – powiedział. – W ten sposób myślę ci się rozmiary i wydaje ci się, że ja jestem kimś dużym i groźnym, kogo się można bać.

– A dlaczego ty stoisz na nogach zamiast wisieć głową na dół? – zapytała spokojnie małpa.

I zanim zdumiony chłopiec zdołał pomyśleć o jakiegokolwiek odpowiedzi, ciągnęła dalej:

– Jak mógłbyś mi udowodnić, że to właśnie twoja, a nie moja postawa jest właściwa?

– Wszyscy stoją na nogach – odpowiedział Tagun.

– A gdyby ci wszyscy mówili, że w życiu nie ma na co czekać, czybyś im przyznał rację?

– Nie – odrzekł Tagun. – Ale co ty wiesz o oczekiwaniu?

– O tym potem – zastrzegła się małpa grzecznie.

– Na razie usiłuję cię tylko przekonać, że większość nie stanowi o słuszności.

– Rzeczywiście.

– A więc nadal pozostaje nierozstrzygnięte, kto z nas ma rację: ja wisząc głową na dół, czy ty stojąc głową do góry.

Tagun usiadł pod masztem i oparł brodę na dłoni.

– Ale chodzić można tylko głową do góry – rzekł wreszcie.

– Nie mówię o chodzeniu, które jest dobre dla mrówek i ich krzątanimy, ale o postawie właściwej istotom myślącym. O postawie obserwacji i refleksji.

– A długo w niej wytrzymasz? – uśmiechnął się Tagun. Małpa nagle skoczyła z rei, wywinęła kozła i spadła na pokład tuż obok chłopca. Usiadła i z gracją młodej kotki owinęła się ogonem, srebrzystym jak jej całe futerko, ale zakończonym czarno.

– Młodzieńcze – rzekła uroczyście – wprowadzasz do dyskusji teoretycznej czynnik praktyczny, co z punktu widzenia metodologii jest oczywistym błędem. Jednakże na swój sposób masz rację, bo już mi się zaczynało kręcić w głowie. Myślę więc, że z tej wstępnej utarczki słownej wychodzimy obaj zwycięsko: ty zmusiłeś mnie do zmiany postawy, ja zaś, jak mniemam, zdołałem złożyć na niwie twojego umysłu ziarno Idei Względności. Ponieważ mamy przed sobą długą podróż, może zdołam ją także wyhodować.

– Więc i ty jedziesz do Lhed? – zapytał Tagun zdziwiony, że małpa wie tak dobrze, gdzie Memuke ma zamiar ją sprzedać.

– Do Lhed i dalej. Pozwól, że ci się przedstawię! Jestem Delu Chwan, mistrz filozofii, obywatel miasta Bukry, w którym prowadzę dość znaną szkołę. Gdybyś kiedy wybrał się tam na studia, miło mi będzie cię powitać. Pytaj tylko o szkołę magistra Chwana.

Tagun powinszował sobie po cichu, że nie nazwał nowego znajomego głośno małpą, po czym odrzekł:

– Niestety nie mam prawa sam wybierać się tu czy tam. Jestem niewolnikiem i Memuke ma mnie sprzedać w Lhed. A nazywam się Tagun Imanu.

– Wiem – rzekł magister Chwan. – Twoje imię i twoja historia były przedmiotem wielu plotek i bajek w Adongo. Megnici lubią bajki, a mędrzec zawsze gotów jest ich słuchać, bo kto wie, czy która nie zawiera więcej prawdy niż prawda sama? W ten sposób i ja dowiedziałem się trochę o tobie. Sądzę jednak, że każdy ma prawo spodziewać się odmiany losy na lepsze, nieprawdaż?

Tagun pomyślał, że on sam zrobił ostatnio wszystko, żeby się móc spodziewać odmiany właśnie na gorsze, ale o tym nie zamierzał gadać z Obcym. Więc zamiast tego zapytał:

– A do jakiego ludu należysz, mistrzu Chwanie?

– Galgal-pa'asz – odrzekł uczony. – Tak zwie się mój lud, a kraj zwie się Galgal-Mubara: leży on na łądzie Temi na zachód i południe od siedzib ludu Tmutów. Słyszałeś już kiedy o nas?

– Słyszałem – odpowiedział Tagun powoli. Pamiętał dobrze, co słyszał i skąd wziął przekonanie, że przez siedziby tego właśnie ludu została dlań wytyczona droga ku Oczekivanemu. W pierwszej chwili uznał, że i ten temat należy ominąć jak najdalszym łukiem; zaraz potem jednak zapytał wprost:

– Powiedz mi, mistrzu, czy to prawda, że wy oddajecie cześć Aldhiru?

– Widzę – odrzekł magister – że muszę przystąpić bez dalszej zwłoki do tego, co przed chwilą nazwałem obrazowo wyhodowaniem rośliny z ziarna. Zważ więc, Tagunie Imanu, że każda rzecz jest względna: wygląda tak lub inaczej, zależnie od tego, z której strony stoisz i patrzysz. Ty na przykład siedzisz w tej chwili na wschód ode mnie, ale zrób no tylko dwa kroki i stań tutaj, a już cię będę musiał określić jako coś położonego na zachodzie. Inny przykład: wiem dobrze, że w pierwszej chwili wziąłeś mnie za małpę i dlatego chciałeś mnie pogłaskać. Może wielu uważałoby to za obelgę; mędrzec jednak, obeznany z ideą Względności, umie przytoczyć siedem i pół przyczyny, żeby to właśnie uznać za komplement. Dzięki temu możemy teraz spokojnie rozmawiać ze sobą. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– A więc słuchaj. Siedziby ludów, które znałeś dotąd, jak wy Megnici, jak Wehowie i różni inni jeszcze,

znajdują się na północnych połaciach świata. Tam wiatr północny niesie śmierć, bo niesie mróz; południowy zaś niesie odwilż i ciepło, a więc życie. Nic dziwnego, że te ludy utożsały swoje życiodajne bóstwo z Południem, zaś przeciwne mu śmiertcionośne siły (bo dualizm zawsze nęci) z Północą. My jednak, Galgal-pa'asz (co, mówiąc nawiasem, oznacza w naszym języku Lud Równikowy) żyjemy w kraju, w którym właśnie chłód zwilża i ożywia, gorąco zaś przynosi suszę i zagładę. Nic dziwnego, że ci z nas, którzy jeszcze potrzebują pociechy mitologii, wielbią Aldhiru, nie Alhoru. Rozumiesz?

– Nie rozumiem – powiedział Tagun zgnębiony. Nie mógł dodać, że on, który raz już spotkał i Alhoru, i Aldhiru, nie potrafi w żaden sposób uwierzyć, by ci dwaj działali na zmianę, w zależności od miejsca na ziemi.

– Więc powiem ci więcej. Siedziby Ludu Równikowego, a jest to lud bardzo liczny i kraj duży, rozciągają się od granicy Ut-mutu aż po pustynię, przez którą przebiega równik. Wiatr południowy dociera do nas przez pustynię i jest tym bardziej zabójczy. Ale zaraz za pustynią na południu, już poniżej równika, mieszka pokrewny nam Rakhe-pa'asz, Lud Południowy, dla którego z północy, bo z pustyni, wieje śmiertelny huragan gorący, a z południa, bo od morza i od bieguna, nadchodzi ożywczy chłód. Toteż Rakhe-pa'asz kłaniają się Południu równie gorliwie jak Megnici, cho-

ciaż z całkiem innej przyczyny. Jest to zresztą lud mały i bez znaczenia, siedzący na skalistym południowym wybrzeżu Temi, nad cieśniną Kaar. A teraz słuchaj dalej: za tą cieśniną znajduje się ogromna wyspa zwana Karimba. Ludy tam mieszkające nie utrzymują żadnych kontaktów z półkulą północną i nie są na niej znane; my jednak wiemy o nich, że będąc narażone na mrozy i śniegi nadchodzące od bieguna południowego, modlą się bezustannie o ożywcze ciepło równikowe, które na ich siedziby nadchodzi z północy. Masz więc w sumie na świecie jakby cztery warstwy w przekładanym cieście: czcicieli Południa i czcicieli Północy. Jaki z tego wniosek?

– Że nie wiedzą sami, komu się kłaniają – odpowiedział Tagun. Delu Chwan przyłożył obie ręce do czoła i skłonił głowę.

– Młodzieńcze – rzekł z namaszczeniem – podziwiam bystrość twojego umysłu. Dałeś oto odpowiedź, która jest do przyjęcia dla nas obu, aczkolwiek jestem pewien, że sens, jaki pod nią obaj podkładamy, jest diametralnie różny. Sprawa jest tak ciekawa, oczywiście głównie metodologicznie, że z największą przyjemnością wznowię z tobą tę dyskusję wieczorem. Zaliczam cię oto tymczasowo do grona moich słuchaczy. A więc student Imanu spotka się ze mną ponownie dzisiaj na godzinę przed zachodem słońca, a czas dzielący nas od tego spo-

tkania zużyje na przygotowanie się do diatryby. Żegnaj ugrzejmie!

I filozof przymknął oczy i owinął się ciasniej ogonem, dając tym samym znak, że wykład uważa za skończony. Tagun odszedł na palcach aż na dziób łodzi, w to samo miejsce, gdzie niegdyś po raz pierwszy rozmawiał z nim Nuno Lagmi. Pod wpływem tego wspomnienia pomyślał, że oto ma już w ciągu niecałego roku czwartego nauczyciela – piątego nawet, jeśli liczyć od Dejna Imanu. Ale Dejna i Nuna kochał i szanował, panów Geb i Kri lubił szczerze – a tym razem czuł tylko strach rosnący, strach taki, że gdyby mógł, toby uciekł od uprzejmego mistrza Chwana na odległość dzielącą wschód słońca od zachodu. Spojrzał w stronę masztu. Uczony siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami, oparty wygodnie, jakby spał; ale Tagun był pewien, że on nie śpi wcale, a tylko przewiduje pytania i obmyśla z góry odpowiedzi. Na pokładzie panował już zwykły poranny ruch; niedaleko dziobu dymiło palenisko kuchni. Tagun wstał i podszedł do kucharza.

– Witaj, Geha-geha – powiedział. – Masz pewnie dla mnie dużo roboty?

– Witaj, mały – uśmiechnął się kucharz. – Nie, nie mogę cię zatrudniać. Jedziesz na prawach pasażera.

– Ale ja chciałbym coś robić.

– Pogadaj z szyprem. Mnie nie wolno.

Tagun spojrział ku rufie, gdzie Memuke stał właśnie przy sterze. Memuke był teraz dla niego bardzo uprzejmy, ale i bardzo daleki. Powie pewnie, że umowa z Wielkim Bardem to rzecz święta i że Tagun powinien korzystać z tego czasu względnej swobody, bo nie wiadomo, co z nim zrobią w Lhed. I tak dalej... I tak czy siak nie będzie dokąd uciec przed uprzejmością mistrza Chwana.

A przecież on nie chciał uciekać! Dobrowolnie i umyślnie wyruszył w stronę kraju i ludu wroga – a teraz po jednej rozmowie z pierwszym spotkanym członkiem tego ludu już żałuje, że nie może zawrócić z drogi. Czego się spodziewał wtedy, w Larri, gdy podejmował decyzję? Trudów, prześladowania, nawet tortur? To wszystko, chociaż straszne, działałoby się na zewnątrz i można by zacisnąć zęby i wycofać się za swój wewnętrzny szaniec. Jeżeli jednak lud Aldhiru cały podobny jest do Delu Chwana, to służyć Alhoru, który by się tam udał, czeka atak na ten wewnętrzny szaniec właśnie; gorzej, czekają tysiące dowodów, z miłym uśmiechem podawanych, że ten szaniec nie istnieje wcale.

Gdybyż jakiś znak, jakieś umocnienie. Ale żagle napełnia ostra bryza wschodnia, obojętna i rzeczowa jak koń pociągowy. Nie ma znaku. Może nie jest potrzebny?

„On w twoje ręce pójdzie sam, dlatego że tamtędy droga w moje”. Więc gdyby teraz uciekł przed ata-

kiem, toby już może nigdy na szerokim świecie nie trafił na Oczekiwanego.

Aldhiru musiał o tym także wiedzieć, bo odpowiedział wtedy głosem śnieżnej śmierci, że do takiej drogi nie dopuści. Potem jednak ustąpił ze wstydem, gdy echa świętej góry przypomniały mu jakieś Tajemne Słowa. W tych to słowach leży widać teraz cała nadzieja. One to w jakiś sposób umożliwiają spotkanie.

Tak, ale jakże można rzec w dyskusji z mistrzem Chwanem, że się za ostateczny dowód swojej racji ma słowa, których się nie zna? I nawet nie wiadomo, kto je wypowiedział?

Trzeba więc przyjąć z góry, że się nie wyjdzie zwycięzcą z rozmowy, że przeciwnik nie zostanie pokonany, a już zwłaszcza – przekonany o swojej klęsce. Trzeba przyjąć całe poniżenie należne głupszemu, mniej wprawnemu w słowną żonglerkę, mniej obeznanemu z chytrymi chwytami dowodów. A jednocześnie trzeba wytrwać stojąc, nawet jeżeli się w dyskusji padnie. I z taką gotowością trzeba iść do mistrza Chwana.

I Tagun wieczorem poszedł.

Potem przez całą noc lizał rany jak zbity psiak. Miał wkrótce niemal zatracić świadomość różnicy między dniem i nocą: jedno i drugie było czasem następującym bezpośrednio po kolejnej rozmowie z uczonym, czasem, w którym rosnąca udręka prze-

platała się z chwilami niespokojnej drzemki prowadzonej przez coraz większe zmęczenie. Już podczas drugiej rozmowy Delu Chwan postawił jasno swoją tezę, że zarówno Alhoru jak Aldhiru są tylko wytworami wyobraźni, wspieranymi i utrzymywanymi przez serie przypadków, a ozdabianymi tym wszystkim, co istoty myślące potrafią wysnuć z własnego serca i wpisać w przyrodę. Potem jakoś tak się działo, że dosłownie wszystko: drobne zdarzenia dookoła i cała historia świata, zwyczaje ryb i budowa łańcuchów górskich, wszystko okazywało się tej jego tezy potwierdzeniem. Tagun zaś na jej obalenie nie miał nic oprócz własnej nieprzekazywalnej nadziei.

W dodatku Delu Chwan zorientował się dość szybko, że chłopiec ma na swój użytek jakąś wewnętrzną tarczę, za którą chowa się z takim przynajmniej skutkiem, że chociaż pod koniec każdej rozmowy jest już niemalże pokonany, to jednak na następną przychodzi znowu z wolą walki. Badając powoli sprawę za pomocą przemyślnych, okrężnych zachodów (nie były to pytania, ale świadomie błędne stwierdzenia i Tagun dawał się wciągać w ich prostowanie) zmierkował uczony wkrótce, że tą tarczą jest nie tyle tradycja Wyspy, ile właśnie jakieś tajemnicze przeżycie. Poświęcił więc cały tydzień na to, aby – w pozornym oderwaniu od tematu – podważyć stopniowo zaufanie chłopca do każdego świadectwa istot myślących

o tym, co widziały i słyszały. Tagun powitał tę zmianę przedmiotu wykładów z wielką ulgą i jakby nieco od-tajał: siedł łatwo i prawie bez oporu za myślą filozofa. I dopiero kiedy już był gotów śmiać się na samym początku każdego zdania w rodzaju: „Memuke syn Keoheki powiada, że widział...” – nagle któregoś wieczoru Delu Chwan, tym samym niby-poważnym to-nem, który tak bawił chłopca, rzucił znienacka:

– A Tagun Imanu powiada, że widział Ora...

I wtedy świat pękł i zawalił się w gruzy, a na tych gruzach siedzieli we dwóch z tą uśmiechniętą uprzejmie szarą małpką, która mówiła coś dalej, ale co? Nie sposób było już nawet zrozumieć. Tagun patrzył przez chwilę na poruszające się wargi uczonego, ale nie wiedział, ani kto jest i czego chce, ani co on sam robi tu obok. Wstał i bez żadnego wyjaśnienia czy pożegnania odszedł znów na dziób łodzi. Delu Chwan patrzył za nim z uśmiechem zwycięzcy. Czuł, że trafnie odgadł tajemnicę chłopca i że wykorzystał ją po mistrzowsku. Teraz Tagun nie pokaże się u niego przez kilka dni, ale nie trzeba go zmuszać; owszem, zostawić w spokoju, a wkrótce przyjdzie sam, jak tyłu innych przed nim. Najpierw może ze skargą, a potem, kiedy już się przyzwyczai i pogodzi z losem, to i po dalszą naukę.

Jednego tylko nie wziął pod uwagę: wieku Taguna. Ktoś dorosły zapewne by się i zachował na jego miej-

scu według przewidywań mistrza; ale ten dzieciak był już po prostu zmęczony, tak zmęczony, że cios decydujący nie mógł głęboko przenikać. Tagun, zawlókłszy się na dziób łodzi, natychmiast tam zasnął. W godzinę później znalazł go Memuke i zaniósł do namiotu. Dobrze i przezornie zrobił, bo przed świtem zerwał się nagle wiatr północny i powtórzyły się oczywiście łowy na delfina; Tagun nic o tym nie wiedział, spał twardo jeszcze przez cały dzień następny i obudził się dopiero pod wieczór. Wyszedł z namiotu, zjadł podwójną kolację i dopiero wtedy pomaszerował znowu na dziób łodzi, żeby się zastanowić, co go właściwie tak dręczy.

Śmiech Delu Chwana, jego pogarda dla prostackich złudzeń? Wypoczętej głowie nie wydawało się to już ani straszne, ani rozstrzygające, ani nieodparte. Przecież wiadome było od początku, że mistrz należy do ludu Aldhiru. Nie mógł więc rozumieć Oczekiwania, więcej; musiał je zwalczać, musiał z niego drwić... ale to wcale nie znaczyło, że miał rację. Mógł mieć po prostu takie polecenie od samego Wroga. Na zawsze albo przynajmniej na czas tej właśnie podróży.

Tagun otrząsnął się więc jak opryskany błotem i zdecydował, że tym samym strząsa z siebie wszystkie nauki Delu Chwana. Nie mógł wprowadzić o nich zapomnieć, jak nie mógłby zapomnieć bólu i przestachu, gdyby go wąż ukąsił. Ale czuł, że świat wokół niego

wygląda równie sensownie jak dawniej, a przerażenie było złudą. Niemniej na samo wspomnienie tej złudy czuł dreszcze. Pomyślał też, że może było błędem z jego strony zgodzić się na rolę ucznia, skoro rozumiał przecież od początku, że to będzie walka, nie nauka. Był w tym fałsz, który na pewno nie ułatwiał obrony.

Toteż od następnego dnia Tagun ograniczył swoje kontakty z Delu Chwanem do wymiany uprzejmości przy spotkaniu. Memuke (ku miłemu zdziwieniu chłopca, który przespał smacznie wczorajsze uderzenie północnego wiatru) zrobił się właśnie jakiś dostępniejszy i mniej pewny siebie; chociaż nie było na pokładzie żadnego barda, stary Fingaj coraz wyraźniej już uważał obecność chłopca za równoważną. Dał się więc w końcu uprosić, by Tagun mógł przez resztę drogi pomagać nieco żeglarzom. A Tagun potrzebował właśnie zdrowego ruchu; po paru dniach tego lekarstwa powiedział sobie, że im wyżej wyleźć na maszt, tym dalej zostawia się za sobą pułapki wszelkich Delu Chwanów. Z dnia na dzień czuł się coraz lepiej i weselej.

A Delu Chwan był z dnia na dzień coraz bardziej niespokojny o skutek swoich zabiegów. Ten student zachowywał się zupełnie nietypowo... Po dłuższych rozważaniach uczony uznał wreszcie, że sytuacja wymaga, aby i on odstąpił od zwykłej taktyki. Może zresztą po prostu ciekawość zwyciężyła w nim w końcu względy taktyczne? W każdym razie wyko-

rzyszał chwilę, w której Tagun znajdował się blisko, bo tuż nad jego głową, na najniższej rei, gdzie właśnie sprawdzał węzły – i nawiązując do ich pierwszego spotkania spytał uprzejmie:

– Czemu to łazisz po drzewach, zamiast chodzić zwyczajnie po ziemi?

Tagun sprężył się: wyczuł ostatnią, decydującą walkę.

– Mistrz Chwan pouczył mnie, że miejsce jest rzeczną względną – odpowiedział.

– Niewątpliwie... – Uczony najwyraźniej wcale nie był zadowolony z tego cytatu. – A czy można już wiedzieć, co też nowego widział student Imanu?

– Sen widziałem – odparł chłopiec bez zastanowienia. I natychmiast uznał, że to dobry pomysł, bo trudno przecież przykładać do snów te same miary, co do mów na jawie, toteż cała miażdżąca logika mistrza Chwana jest wobec nich bezradna. A że chciał jakoś dać do zrozumienia uczonemu, za czyjego służbę go uważa, ciągnął dalej, rozbudowując na poczekaniu swą opowieść:

– Śniło mi się, że były wielkie czarne chmury, a pod nimi jakby pole białe. Potem widziałem, że to pole się rusza, i to było morze, ale pod warstwą śniegu...

– Śnieg nie leży na morzu – przerwał uczony.
– Albo się w nim topi, albo mróz skuwa fale, tak że się już nie ruszają.

– Ale we śnie się ruszały. I statek też był cały biały od śniegu i bardzo od niego był gorący...

– Dziwny śnieg!

– Przecież to było we śnie. Może pamiętałem twoje nauki o tym, że zimny czy gorący wiatr to jedno? Dalej widziałem, że na tym statku było zupełnie pusto i tylko ty jeden, mistrzu Chwanie, stałeś tu właśnie, gdzie stoisz teraz, i mówiłeś do kogoś, kto stał obok ciebie...

– Kto taki? – zapytał uczony niespodziewanie ostro.

– Ktoś w długim płaszczu, całkiem takim jak te chmury i ten śnieg. Słyszałem, jak ty mówisz: „Kiszba, kiszba...”. Czy jest takie słowo w twojej rodzinnej mowie, mistrzu Chwanie? Nie znam zupełnie tej mowy.

– Nie ma – odrzekł uczony. – No, nie bawmy się opowiadaniem snów!

– Kiedy to był taki ciekawy sen! Potem ten ktoś zaczął tobie wydawać rozkazy i powiedział...

Jednym susem małpiego ciała mistrz Chwan znalazł się nagle przy Tagunie. Jego palce, wczepione w olinowanie, zacisnęły się tak mocno, że krew poszła z nadszarpniętych paznokci; jego twarz przybrała barwę fioletowo-błądą. Zdumiony chłopiec nie miał dokąd się cofnąć, zresztą całą siłą woli pragnął nie stchórzyć, nie uciec, wytrzymać ten atak nagłej nienawiści, nieporównywalnej z niczym, czego dotąd doświadczył od jakichkolwiek

abalahinda. Ich twarze były teraz tuż przy sobie. Delu Chwan bełkotał:

– Wiesz tyle... wiesz tyle... a czy wiesz, coś stracił? Szczeniaku niegodny uwagi mędrca, gdzie twój skarb? Gdzie twoje Oczekiwanie?

Nagle rozprężył się i jakby fala przeszła po jego ciele: zjeżzone futerko ułożyło się znowu gładko na bokach, twarz wróciła do zwykłego wyrazu i barwy. Powoli i godnie mistrz Delu Chwan zlął z masztu, po czym skłonił się Tagunowi.

– Uniżony sługa – rzekł. – Gdybyś potrzebował dalszej nauki, wiesz, gdzie mnie szukać..., a nie wątpię, że ci się wraził w pamięć raz na zawsze. Pytaj o szkołę mistrza Chwana!

I odszedł. A Tagun dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że przez cały czas podróży, od pierwszej dyskusji aż dotąd ani razu nie zajął się Oczekiwaniami, tak jak się nim zajmował przedtem przez całe życie. Był ciągle tak zaprzątnięty: najpierw długą porażką, potem nagłym odzyskaniem gruntu pod nogami... Stracił miesiąc czasu: o ten miesiąc opóźni się spotkanie z Oczekiwanym...

Jeśli jednak Delu Chwan liczył na to, że (jak z innymi bywało) wstyd i zmieszanie utrudnią chłopcu powrót do tego, co kochał, to się raz jeszcze przeliczył. Tagun, siedząc na maszcie, płakał z żalu, ale jego tęsknota tylko się przez to wzmożła. Niemniej przez

resztę drogi dręczyła go obawa, o której tamten wie-
dzieć nie mógł, nie znając jego zamiarów. Oto na co
naraża się przez to, że dąży do Galgal-Mubara! Oto co
tam potrafią zrobić z takim jak on dzieciakiem! Tym
razem jeszcze mu się upiekło: Delu Chwan był jeden
i był z nim przez krótki czas. Ale iść tam, gdzie miesz-
ka cały lud takich Delu Chwanów? I nie wiadomo, na
jak długo?

A jednak nie miał innej drogi i nie chciał mieć.

Zbliżali się do Lhed.